

Z meksykańskich doświadczeń wiemy, że sporo decyzji personalnych selekcjonera – pomijając wynikłą z tego wadliwą organizację i ubogi styl gry – było chybionych. Antoni Piechniczek do końca wierzył, że Matysik, Buncol, Boniek, Smolarek, Majewski, Wójcicki i Młynarczyk powtórzą sukces z Hiszpanii. Zapomniał lub nie chciał wiedzieć, że w Meksyku każdy z nich był o cztery lata starszy i że swój – jak ja to określam – piłkarski skok Wojciecha Fortuny już wykonał w Vigo, La Corunie, Barcelonie i Alicante. W Monterrey więc potrzebni byli tacy piłkarze jak na przykład Matysik i Buncol w Hiszpanii. Mieli nimi być Dziekanowski i Urban, ale nie byli. Dlaczego?

W Legii mówią, że „Dziekan” bez solidnego przygotowania zimowego nigdy dobrze grać nie będzie. Wyprawa do Argentyny i Urugwaju temu nie sprzyjała. Coś więcej dla drużyny mogli zrobić Karaś i Tarasiewicz, także i Baran. Pierwszym trener za późno zaufał, a Baran oglądał Mundial z trybun. Karaś i Tarasiewicz na ratowników tonącego okrętu w Guadalajarze w arcytrudnym meczu z Brazylią już się nie nadawali. A może tego „czegoś więcej” dokonaliby właśnie w Monterrey..”

Po Mundialu Piechniczek był obiektem powszechnego zainteresowania. Dmuchano najczęściej w jedną i tę samą trąbę – krytykowano selekcjonera. Spośród dziennikarzy „na żywo” oglądających meksykańskie mistrzostwa, pod ten nieprzychylny Antosiowi nurt popłynął tylko Ryszard Niemiec, redaktor naczelny „Tempa” Kraków. Być może do tak kontrowersyjnej postawy zachęcił Ryszarda właśnie Jucewicz, który w swoich „Selekcjonerach” przyłączył się do grupy osób, które powielały opinię, że ... „ze współodpowiedzialności za niepowodzenia nie można wyłączyć mass – mediów, które bez przerwy były Piechniczekowi w tarabany”. Otóż red. Niemiec w felietonie „**Wrogowie i prokuratorzy**” też bez żadnych ogródek stwierdził, że: „Milczeli trenerzy, milczeli dziennikarze, Piechniczek był ulubieńcem prasy, wystarczy zajrzeć do własnych zszywek, panowie koledzy, kochający futbol pierwszą miłością”.

Niewątpliwie byłem jednym z tych, których Niemiec powinien zaliczyć do kochających piłkę nożną „pierwszą miłością”. Jacek Syski w publikacji „Mundial Ekspres” spojrział na to nieco inaczej: „Gdy z daleka śledzili mistrzostwa inni dziennikarze – fachowcy, do Meksyku udała się armia nuworyszów”. Zirytowała mnie zwłaszcza filipika R. Niemca. Czy Piechniczek był moim ulubieńcem? A jeśli nawet był, czy to znaczy, że bezkrytycznie oceniałem jego pracę. Za radą kolegi z „Tempa” zajrzałem więc do zszywki tygodnika „Piłka Nożna”. I oto co tam zauważyłem? Może nie w tak ostrej formie jak niegdyś Ryszard Koncewicz, Kazimierz Górski, Jacek Gmoch i Ryszard Kulesza, ale Piechniczek i jego najbliżsi współpracownicy też byli krytykowani. Prasa ich nie głąskała. Przypomnę tu tylko własne opinie w tej sprawie.

Sugerowałem ostrożny optymizm, uznając, że remisowy mecz z Belgią i wygrany z Włochami, to dopiero zapowiedź lepszych dni. Trzeba wyżej podnieść poprzeczkę. Tymczasem trener był zadowolony nawet z nieudanego występu w Turcji. To nie była klasa na Mundial! Tak to wtedy widziałem. Iście homeryckie boje staczałem z trenerem również w kwestii szkolenia centralnego w zimie i egzotycznych w tym czasie wycieczek do ciepłych krajów. Na pytanie – „*Czy to nie przesada?*”. Piechniczek odpowiadał: – „*Biorę tych, których potrzebuję. Pójście na kompromis z klubami było by pogorszeniem sytuacji*”... I tak ciągnęła się ta reprezentacyjna karawana.

Przed Mundialem istotnie dla trenera i reprezentacji był czas ochronny. – „Dla dobra sprawy” – mówiono. Mimo to po występach w Argentynie i Urugwaju oraz nieudanym meczu z Hiszpanią w Kadyksie, pisaliśmy jednoznacznie: ... Nasi piłkarze nie ustrzegli się błędów... Niektóre z nich były szkolne, podstawowe, nie do wybaczenia na szczeblu reprezentacji. Jest więc powód do troski i zadumy. Nie można w „ciemno” powoływać do reprezentacji każdego, kto już kiedyś w niej grał i coś dla niej zrobił. Ważne są bieżące atuty: dyspo-

zycja, faktyczna przydatność i możliwości. A tego przed meczem z Hiszpanią nie sprawdzono. Nadchodzi końcowy etap przygotowań do Mundialu... „**Największych zmian należy oczekiwać w obronie, pięcie achillesowej reprezentacji, ale i w pozostałych formacjach też nie wszystko jest jasne i do końca przesądzone...**”

Natomiast zaraz po przegranym w Kopenhadze towarzyskim meczu z Danią, który Antoni Piechniczek uznał za udany, sygnalizowałem:

...Na dwa tygodnie przed rozpoczęciem Mundialu największym mankamentem zespołu jest brak skuteczności, tak w obronie, jak i w ataku. Wójcicki był najslabszy, wolniejszy od rywali... Boniek chował się za plecy kolegów, Matysik omal nie strzelił samobójczej bramki, a Buncol w drugiej połowie wyraźnie osłabł... Andrzej Zgutczyński nie wniósł do gry żadnych pozytywnych elementów. W Kopenhadze słabiej, niż oczekiwaliśmy, zagrali praktycznie wszyscy nasi zazwyczaj najlepsi...

Dla kogo i w jakim celu to pisałem? Chyba nie sobie a muzom? W zszwywce „Piłki Nożnej” łatwo sprawdzić, co jeszcze przed Mundialem stwierdziłem: ... Już nie Młynarczyk, Wójcicki, Boniek, Buncol, Matysik lub Smolarek są w stanie zadziwić świat. Naszą szansą są: Kubicki, Urban, Dziekanowski, Tarasiewicz i... Furtok, bo tylko oni mogą czymś nowym zaskoczyć rywali”. Nie mam zamiaru przypisywać tym słowom wagi szczególnej. Wyrażały po prostu moje widzenie „spraw reprezentacji”. Dziennikarze, mimo iż „Piechniczek był ich ulubieńcem”, mieli jednak oczy otwarte i zawsze mówili i pisali to, czego wymagał interes reprezentacji i pozycja polskiego piłkarstwa w świecie.

...Dziś być mądrym po szkodzie – to też moja uwaga – po fakcie sterować nastrojami kibiców i działaczy – to rzeczywiście żadna sztuka. Ja, na miarę swoich możliwości starałem się o tym wszystkim pisać „przed szkodą”. A że Ryszard Niemiec tego nie dostrzegł? Nie mój to kłopot. Widocznie za bardzo był zapa-

trzony w swoje „Tempo”... Selekcjoner-trener nigdy nie był, nie jest i nie może być „świętą krową”. Tę fundamentalną prawdę powinien znać każdy, kto przejmie schedę po Piechniczku. Konkurs trwa. Ubolewam, że od czasów Kazimierza Górskiego żaden z polskich szkoleniowców nie potrafił w stopniu dostatecznym łączyć obu tych funkcji. Bo wbrew pozorom selekcjoner i trener – to nie to samo!

Pomundialowy wątek, nieco zbliżony do sugestii redaktora Niemca, wyraził na łamach tegoż „Tempa” Kraków jeszcze jeden felietonista, Wojciech Lipiński. Nie bronił wprost Piechniczka, ale uznał, że przede wszystkim prezes PZPN Edward Brzostowski ponosi winę za „meksykański niewypał”. Bo ponoć w ogóle nie ingerował w to, co robi trener. Natomiast diametralnie inną opinię, mocno korespondującą z moimi odczuciami i wiedzą, wyraził wybitny krytyk literacki i filmowy, Krzysztof Mętrak:

...Niektórzy trenerzy – to ciekawe, że właśnie z krajów naszego obozu – ani w ząb nie chcą przyjąć na siebie odpowiedzialności za klęski na Mundialu. Węgier Mezey i Bułgar Wucow nie poczuwają się do winy. Niestety, Antoni Piechniczek też kręci i nie zachowuje się, jak pełnokrwisty mężczyzna. Tylko Włoch Bearzot umiał wziąć na siebie odpowiedzialność za klęskę... Dlaczego w naszym futbolu ludzie tak boją się przyznać do błędów, fuszerki i słabości?

Nie były to jednak „Czarne dni Tempa”. Tylko nieco śmieszne, inne widzenie sprawy. Nieco później było już nie do śmiechu. W artykule „**Mówi to panom coś?**” z krakowskim pismem startł się red. Zygmunt Dziubek ze „Sportu” Katowice. Zaatakował, między innymi – właśnie red. Ryszarda Niemca. Sięgając formy dialogu z czasów „zniewolonego futbolu” „Sport” dopatrzył się w „Tempie” „jawnej manipulacji faktami, jako metodzie obarczania górniczej kultury fizycznej całą winą za obecne kłopoty polskiego sportu”. Opinię naczelnego „Tempa” ówczesny naczelny „Sportu” uznał oczywiście za błędną. I skończył złowrogim post scriptum: – Oczywiście w naszej potyczce nie padły jeszcze najcięższe „strza-

ły”, przynajmniej z mojej strony. Red. Niemiec o tym – jak sądzę – wie. Ja też wiem. On wie, że ja wiem. I ja wiem, że on wie, iż ja wiem. Czytelnicy, zwłaszcza z centralnej i północnej części kraju nie za bardzo wiedzieli o co w tym bełkocie chodzi, więc red. Niemiec w kolejnym tekście wyjaśnił to jednoznacznie:

To nie jest przypadkowe zderzenie:

...Źródła konfliktu sięgają lat siedemdziesiątych, kiedy to wszystko, co pochodziło ze Śląska lub Zagłębia miało sankcje monopolu, ostatecznej racji stanu... „Tempo” dostąpiło szczęścia uzyskania drugiego wydania. Polska sportowa podzielona była na sfery wpływów dwóch imperialnych mocarstw – „Przeglądu Sportowego” i „Sportu”. Każda próba dekompozycji tego modelu była natychmiast kontrowana, zwłaszcza ze strony katowickiej. „Tempo” zaczęło się jednak ukazywać trzy razy w tygodniu... Wtedy bardzo wpływowy zawiadowca katowickiego pisma wystąpił z wnioskiem o likwidacji „Tempa”...

I clou sporu: „Tempo kierowane przez Niemca i „Sport” kierowany przez Dziubka są z góry skazane na układ antagonistyczny... Należą po prostu do innych światów: do świata dziennikarstwa walczącego i świata dziennikarstwa zachwyconego raz na zawsze”. W świetle tego magła, nasze – Rysia i moje – nieco inne spojrzenie na ocenę dokonań Antoniego Piechniczka, jest po prostu małym piwem.

W roku 1986, mimo klapy w Meksyku, pozycja PZPN na arenie międzynarodowej była dość dobra. Nawiązano bezpośrednią współpracę z wieloma federacjami, wprowadzono do prac w komisjach UEFA kilku nowych działaczy, otrzymano zgodę na organizację wspólnie z OZPN Warszawa Międzynarodowego Turnieju o Puchar Warszawskiej Syrenki, wreszcie – co też ma wydźwięk międzynarodowy – delegację Związku z prezesem Edwardem Brzostowskim przyjęło w Zurychu kierownictwo FIFA. Trudniej jednak było znaleźć wspólny język w kraju. Państwowym władzom naszego sportu nie za bardzo spodobała się rzutkość i nadmierna samodzielność prezesa PZPN.

Nie mogąc zyskać w GKKFiS akceptacji dla swoich pomysłów, w większości burzących zastałe formy działania, Brzostowski w dniu 13 października 1986 roku zrezygnował z funkcji prezesa. Zastąpił go płk Zbigniew Jabłoński, były szef Wisły Kraków, a więc osoba ze sportem obeznana. Nie był „prezesem malowanym”. Pułkownik też nie ukrywał chorób zagrażających naszemu futbolowi. Martwił go zwłaszcza stale obniżający się poziom szkolenia w klubach i reprezentacjach. To następstwo zastraszająco niskiego morale działaczy, trenerów i zawodników. Ta zaraza najbardziej zżerała nasz futbol. Nie wykorzystano kolejnej szansy awansu do puli finałowej mistrzostw Europy (dopiero czwarte miejsce w grupie za Holandią, Grecją i Węgrami) i Igrzysk Olimpijskich w Seulu.

Na zebraniu sprawozdawczym PZPN w maju 1987 roku Zbigniew Jabłoński publicznie wytknął delegatom to, o czym mówiono w kuluarach ... „Trzeba się zdobyć na brutalną szczerłość – nie mamy aktualnie żadnych liczących się osiągnięć sportowych. Meksyk – mimo wyjścia z grupy – był falstartem i antypropagandą piłki nożnej. Efekt finansowy nie może przesłaniać zenujących widowisk w wykonaniu najsilniejszego w tym okresie składu reprezentacji Polski. Nie udało się także trenerowi Wojciechowi Łazarkowi reanimować jej do przebrnięcia eliminacji mistrzostw Europy... Realia naszej piłki nożnej są niedobre. Jest ona cherlawa, jakby dychawiczna. Głęboko jest zaawansowany upadek zasad moralnych wśród trenerów I i II ligi. Postępuje proces demoralizacji sędziów i niektórych grup działaczy... W pracy szkoleniowej prabłędy tkwią już w selekcji juniorów...”.

Diagnoza trafna, ukazująca kompletne dno: szkodliwy system zarządzania klubami, nasilający się przyptyw niekontrolowanego pieniądza także w klubach niższych klas, brak szerokiego zaplecza, bo baza i szkolenie piłkarzy przypomina czasy króla Ćwiczka. Prezes Jabłoński poszedł za ciosem. Najpierw

zlecił opracowanie raportu w sprawie szkolenia młodzieży. Podkreślono w nim dwa fakty oczywiste: po pierwsze – za późno zaczynamy szkolenie młodzieży, po wtóre – nasz futbol nie jest powszechny. ... „Co jedenasty Duńczyk, co trzynasty Holender, co szesnasty Węgier i co... czterdziesty trzeci Polak kopie piłkę... Tam dzieciom stworzono w tym celu odpowiednie ramy organizacyjne. Trzeba iść tym tropem. Innego wyjścia nie ma”.

Wkrótce po tym apelu prezes powołał specjalny zespół pod kierownictwem Kazimierza Górskiego, któremu zlecił opracowanie „**Raportu ekspertów**”. Wskazano w nim przyczyny regresu naszego futbolu i nakreślono kierunki pracy uzdrowicielskiej. Prochu nie wymyślono, potwierdzono tylko powszechnie znaną prawdę, że organizacja oraz szkolenie w klubach i centrali jest złe, daleko odbiegające od wymogów współczesności. Pewną nowością było tylko krytyczne spojrzenie na kształt naszych lig i próba przystosowania ich do faktycznych możliwości klubów. Wedle stawu grobla! Puste hasło, bez odzewu. Równoległe do „Raportu ekspertów” w jakimś diabelskim kotle warzono karykaturalne formy naszej ligi. Prywata brała górę.

W założeniu najważniejsza była reprezentacja. Żaden z zarządów PZPN nie kwestionował jej priorytetu, takie deklaracje składano na każdym Walnym Zgromadzeniu PZPN. Po dymisji Piechniczka wiele sobie obiecywano po nominacji Łazarka. Jego dobroć, iście staropolski humor i okazjonalny dowcip, łatwość nawiązywania kontaktów z ludźmi, no i oczywiście autentycznie piłkarski rodowód, wiedza i doświadczenie – to wszystko rodziło kolejne nadzieje. Głęboko do serca wzięł sobie Wojtek i jego najbliższy współpracownik Hilary Nowak z Poznania krytyczne słowa dotyczące drużyny narodowej. Przywrócił więc mocną niegdyś pozycję sekcji reprezentacji i... stanął na jej czele.

Tu naśladował praktyki Gmocha, ale w sposobie tworzenia zespołu poszedł nieco za daleko. W towarzyskim spotkaniu międzypaństwowym z KRL

-D w Bydgoszczy wystąpiło 21 zawodników. Dziś chlubią się, że byli reprezentantami, ale wtedy przypominali „jednodniowych milionerów”. Andrzej Sikorski (Legia), Tadeusz Świątek, Wiesław Wraga i Henryk Bolesta (wszyscy Widzew) oraz Kazimierz Sokołowski (Pogoń) zagraли w reprezentacji dwa razy – pierwszy i ostatni. Takich chybionych decyzji, z których Wojtek nie zawsze w porę się wycofywał, było niestety – więcej.

Łazarek miał słabość do zawodników z Łodzi, swojego rodzinnego miasta i z Gdańska, gdzie przez wiele lat z powodzeniem grał i pracował. Głównie tam szukał debiutantów, ale oni nie potrafili sprostać zadaniu, po prostu byli za słabi. W eliminacjach mistrzostw Europy graliśmy wtedy w jednej grupie z Holandią, Grecją, Węgrami i Cyprem. Łazarek po selekcyjnej wpadce w meczu z KRL-D dosłownie w ciągu tygodnia oddzielił ziarno od plewy i na mecz z Grecją w Poznaniu zestawiał zupełnie przyzwoitą drużynę. Postawił na Darka Dziekanowskiego, a ten w podzięcie zdobył na Bułgarskiej obie zwycięskie bramki. W dobrych nastrojach jechaliśmy po kolejne punkty do Amsterdamu.

Byłem tam o kilka ładnych godzin przed reprezentacją. W hotelu wcześniej pojawił się również Zbigniew Boniek. Czyhała na niego holenderska telewizja. „Zibi” zgodził się na rozmowę, ale dogadać się nie mogli. Miejscowi dobrze znają tylko swój język, jako tako niemiecki, natomiast Boniek polski i włoski. Liczono na pomoc Janusza Kowalika mieszkającego wówczas w Maastricht, ale na czas nie dojechał. Bariera językowa nie do sforsowania. Poliglotą nie jestem, z konieczności jednak podjąłem się roli tłumacza. Boniek opowiadał o swojej karierze piłkarskiej w Polsce i we Włoszech, naszej obecnej drużynie i zapowiedział dobry wynik w meczu z Holandią. Pewny swoich racji, swobodny i barwny w ich wyrażaniu, zaimponował reporterom. I tak jak przewidywał, mecz zakończył się bezbramkowym remisem.

Znowu komentowałem to wydarzenie dla „Piłki Nożnej” i „Przeglądu Sportowego”. W obu publikacjach nieco popsioczyłem, bo ten mecz można było wygrać. Generalna teza była jednak dość optymistyczna. Reprezentacja zaczęła odzyskiwać utraconą pozycję. W Amsterdamie zagrała zdecydowanie lepiej, niż z KRL-D w Bydgoszczy, Grecją w Poznaniu i z Irlandią w Warszawie. Wagę tej opinii uwiarygodniła klasa przeciwnika, Holandia wciąż była groźna i silna. My jednak nie za bardzo pozwoliliśmy gospodarzom rozwinąć skrzydła. Defensywa jako całość w całym meczu popełniła dosłownie dwa błędy (brak asekuracji), raz jednak doskonale interweniował Jacek Kazimierski, a raz fatalnie spudłował Marco van Basten. Ostrej walki do końca nie wytrzymał tylko Dariusz Dziekanowski, zastąpił go Jan Urban i luk w zespole nie było. Tak czy inaczej początek batalii o mistrzostwo Europy był dość udany. O całym sezonie wypowiedziałem się jednak krytycznie.

... Wróciliśmy do szarzyzny dominującej niestety – na polskich boiskach. Wprawdzie druga połowa roku nieco osłodziła gorzkie nastroje, ale na odczuciach trudno budować wielkie plany. Czym w rzeczywistości dysponujemy? Na razie nie ma się czym pochwalić. Marzymy o finałach mistrzostw Europy w RFN. Ale dziś nie stać nas na awans do grona najlepszych. Mamy tylko jednego piłkarza reprezentującego klasę międzynarodową. To Włodzimierz Smolarek, Piłkarz Roku 1986. Kropla w morzu potrzeb. Selekcjoner tryskał jednak humorem i obiecywał przerwanie wreszcie „zaczarowanego kręgu” eliminacji i udaną w 1988 wyprawę na stadiony w RFN. Sugerował, że powstaje nowa drużyna.

Miłe złego początki, tylko odrobina wiosny jesienią. Koniec żałosny. W trzech kolejnych meczach eliminacyjnych z Cyprem, Grecją i Węgrami w pierwszym półroczu 1987 Polacy zdobyli tylko jeden punkt. Na Wybrzeżu z Cyprem bezbramkowa bryndza, w Atenach fatalny błąd bramkarza Jacka Kazimierskiego i prze-

grana z Grecją 0:1, zaś w Budapeszcie beznadziejna końcówka i niespodziewane zwycięstwo Węgrów 5:3. Wrażenia przygnębiające. Brak kondycji i prawdziwie męskiego charakteru u większości naszych zawodników. Nieporadna kopa nina. Trener Łazarek dokonał kolejnej „czystki”. Po wpadce w Atenach wyrzucił z kadry Kazimierskiego, Ostrowskiego, Dziekanowskiego i Furtoka. Pomogło jak umarłemu kadzidło. Mistrzostwa Europy znowu bez Polaków. Ten sam los spotkał drużynę olimpijską.

ZABAWA W ARGONAUTÓW

Zainicjowaliśmy dyskusję na temat: „**Dziś i jutro polskiego futbolu**”. Wszyscy eksperci potwierdzili niski poziom ligi i słabość reprezentacji. Nikt jednak nie podważał priorytetu drużyny narodowej. Wojciech Łazarek był z tego powodu wyraźnie zadowolony. Reprezentacja nadal jest niekwestionowaną wizytówką polskiego futbolu! Dobrze samopoczucie selekcjonera lekko mną wstrząsnęło.

– Czy nie żałujesz, że wygrałeś konkurs PZPN? Ludzie coraz głośniejszą mówią, żebyś się podał do dymisji...

– Gdyby taka sugestia wyszła z Rady Trenerów Wydziału Szkolenia, to bym się musiał zastanowić i... chyba bym zrezygnował. Bo byłby to głos fachowców. Ale mojej rezygnacji oczekują głównie ludzie nijacy... To oni z reguły żyją najdłużej i cieszą się dobrym samopoczuciem. Wygrany konkurs PZPN dał mi satysfakcję i trenerską nobilitację.

– Dla reprezentacji nic to nie znaczy... Drużyna znowu zostaje w domu...

– Podzieliłem los moich poprzedników. Płacimy słońną cenę za stare i stale powtarzane błędy. Każdy Mundial kończy u nas czteroletni cykl pracy. Po tem wszystko się rozlatuje, nie ma zespołu na mistrzostwa Europy. Nie sądzi-

łem jednak, że szczątki meksykańskiej drużyny aż tak długo trzeba będzie zbierać. Może teraz będzie lepiej?

– Myślisz o jutrze. A czy dziś mamy reprezentację?

– Sądzę, że mamy i to na dziś, i właśnie na jutro! Trzon zespołu jest, ale nikomu nie obiecuję abonamentu na grę w reprezentacji. Poszukiwanie duple-rów trwa...

– Oby tylko znowu nie byli to „jednodniowi milionerzy”. Dotychczas za łatwo rozdawałeś nominacje...

– Mam czyste sumienie, dałem szansę każdemu, kto wyróżniał się w lidze. Nie wszyscy jednak grali na miarę swoich możliwości. Ilu tych „wielkich” zostało po Meksyku? Dziekanowski, Urban, Tarasiewicz i... reszta to chyba ci „jednodniowi milionerzy”. Szansę dostaje każdy, ale w rywalizacji z silnymi drużynami sprawdzają się tylko najlepsi. Po prostu inna jest skala trudności w naszej lidze i... w reprezentacji.

– Wydałeś walkę nałogom. Jak dziś jest z paleniem i piciem? Oczyszczył atmosferę? Kto jeszcze bryka?

– No, jeszcze nie każdy jest cherubinkiem, ale przeważa zrozumienie celów i... kultura osobista. Palenie – to sprawa świadomości, zaś alkohol – to umiejętność odróżnienia etyki od lektyki. Kto pije, trzeba go nieść! Teraz nikt tak ostro nie bryka...

– Czujesz się na siłach dalej ciągnąć ten reprezentacyjny wóz?

– Wierzę w tych chłopaków. Jest w nich coś, co już w miarę szybko może spowodować wybuch. Celem strategicznym są finały mistrzostw świata we Włoszech. Wszystkie zwady i nieporozumienia trzeba teraz zepchnąć na boczny tor. Może wtedy turniej we Włoszech przybierze barwy biało-czerwone?

Po Mundialu w Meksyku zapowiedziano działanie sztabowe. Może rzeczywiście przeżył się układ trener – selekcjoner? Zadania wydają się przerastać

jedną i tę samą osobę. Może warto wrócić do instytucji kapitana związkowego i właśnie jemu powierzyć zadania selekcjonera? Natomiast trenera zatrudnić osobno, rozliczać za same wyniki na boisku, a odciążyć od obowiązku szerokiej selekcji.

Piłka nożna jest pełna konserwatyizmu. Ale czy akurat trzeba trenerowi odbierać selekcję? U nas dość często się zdarza, że pacjent przychodzi do lekarza już z gotową receptą: żąda Raphacholinu, a potrzebuje Nervosolu. W piłce nożnej też nie brakuje znachorów. Jednak ona wciąż twórczo i w miarę spokojnie się rozwija.

– Dlaczego nie mieszkasz w Warszawie?

– Może jestem jakimś odszczepieńcem? Diabli wiedzą... Brak własnego kąta w stolicy wynagradzają mi dowody sympatii, przyjaźni i serdeczności, z jakimi spotykamy się właśnie w Warszawie. Stałe podróże z garniturem w walizce i z brzytwą w neseserze pracy jednak nie ułatwiają...

– A co z funkcją menedżera?

– Tu już coś drgnęło. Po rezygnacji Hilarego Nowaka zadania kierownika reprezentacji przejął Czesław Gołębiowski, do niedawna działacz komisji młodzieżowej PZPN i bliski współpracownik Edmunda Zientary. Dobrze zdał pierwszy egzamin w Izraelu. Jest służba medyczna, są trenerzy odnowy biologicznej, uruchomiliśmy komórkę informacji. To mocne trio: Dariusz Śledziwski z AWF, Paweł Janas i Tadeusz Dubrawski z COS-u. Przydałby się w tym towarzystwie jeszcze kierownik techniczny. A menedżer? To również pilna potrzeba! Ale chyba nie jest to pytanie wyłącznie pod moim adresem?...

Podobną opinię wyraził Łazarek na grudniowym zebraniu Zarządu PZPN. Nie wszystkim to się spodobało. Nawet bardzo przyjazny Wojtkowi Krzysio Mętrak w swoim stałym felietonie w „Piłce Nożnej” („Grzejąc ławę”) zarzucił selekcjonerowi „gejzery samozadowolenia”. Krytyk co nieco przesadził, ale też

trener dał sporo powodów do takiej właśnie reakcji. Mnie Łazarek przekonywał, że „jego rezygnacji domagają się ludzie nijacy”, natomiast członków zarządu PZPN starał się utwierdzić w przekonaniu, że „opinią publiczną kieruje ślepy egoizm, strach i chęć zemsty”. Jaki był rezonans tej niefortunnej wypowiedzi? Nie zjednała mu wrogów, gorzej – zraziła przyjaciół, w rezultacie miał ich coraz mniej.

Zastanawialiśmy się z red. Stefanem Grzegorzczakiem, jakie „właściwie jest dziś i jutro polskiego piłkarstwa”. Atmosfera jest zła. Nasz futbol stał się obiektem bezpardonowych ataków, często w formie karczemnych bijatyk, a nawet strzałów zza węgła. W publikacjach łatwo można było dostrzec przerost formy i demagogii nad treścią. W przeciwieństwie do wielu krajów europejskich u nas obwinia się głównie jednostki, natomiast nie dostrzega się szkodliwych układów, zła – mającego swoje źródło w powszechnym upadku autorytetów i schorzeniu moralnym. Polski futbol chce i powinien być samodzielny, samorządny, nie skrzepowany, by mógł sam na siebie zarabiać! Potrzebuje więcej zielonego światła dla swoich działań finansowych i szkoleniowych. Dotychczasowe struktury, przestarzałe systemy i schematy organizacyjne, zbiurokratyzowany aparat etatowy PZPN nie są w stanie temu podołać.

Kierownictwu Związku brakuje odwagi i konsekwencji. Jest przeżarte stereotypami, dogmatami, sloganami. Lekceważy społeczny charakter działalności, często podejmuje decyzje w bardzo wąskim gronie, zza biurka, sprzeczne z zasadami sprawiedliwości i odczuciami opinii publicznej. Zapomina się, że dzisiejszy sport w ogóle, a futbol szczególnie przestał być zajęciem dla garstki nie wyżytych lub pragnących reklamy hobbystów, że wymaga fachowców, ludzi kompetentnych, z otwartą głową światowców... Wciąż nie potrafimy wyzwolić się z czasów, kiedy prezesów przynoszono w teczkach i kazano sprawować władzę w świecie im zupełnie nieznanym.

PZPN, mając dość kłopotów z reprezentacją, usiłuje grać jeszcze rolę rzecznika kilku najbogatszych klubów. To maluczkich boli i boleć będzie. W centrali powinni działać najlepsi, a nie uprzywilejowani... Mówi się, że „pańskie oko konia tuczy”. Gdyby Wojciech Łazarek lub każdy inny selekcyjner był na co dzień w Warszawie i miał dostęp do wszystkich tajemnic biura PZPN, stołecznych urzędów i klubów, to zapewne efekty jego pracy byłyby znacznie lepsze. Pracę z „doskoku” w tak spektakularnej branży jaką jest PZPN i jego reprezentacja, trzeba uznać za czyste szaleństwo.

Jak pionkami na szachownicy manewruje się niektórymi działaczami. Przy okazji – pod naciskiem opinii publicznej – błyskawiczną karierę pezetpeenowskiego społecznika zrobił Kazimierz Górski. Jest dziś już wiceprezesem PZPN. To budzi kontrowersje. Jedni twierdzą, że centrala uwierzyła w nadprzyrodzone siły pana Kazimierza, drudzy – że stał się dla obecnych władz związku wygodnym parawanem. Osobowość Górskiego ma uspokoić zbulwersowaną opinię publiczną.

Kryzys moralny ogarnął całe piłkarstwo! To trzeba sobie wyraźnie powiedzieć. I nie dyskutować jałowo, w jaki sposób ukarać złodzieja, lecz po prostu go zamknąć. Dość już chyba pobłażania, głaskania, perswazji. Należy bić tych, którzy przyszli do futbolu nie z potrzeby serca, ale dla korzyści osobistych, z pobudek koniunkturalnych. Zabiegi kosmetyczne już nie wystarczą. Przestępców trzeba karać! Kto? Osławione, a zrodzone w PZPN „brygady tygrysa”, nie są już żadnym postrachem dla klubów łamiących prawo, przekupnych działaczy i łasych na precjoza piłkarskich arbitrow. Na całym świecie zajmują się tym zwyrodnieniem funkcjonariusze służb specjalnych. Tylko ich akcje mogą być skuteczne.

Niewątpliwie w tych naszych dywagacjach z końca lat osiemdziesiątych łatwo dziś dostrzec sporo zwykłego „chciejstwa”, postulatów naiwnych, trudnych

do zrealizowania, po prostu prób płynięcia pod prąd. Oczekiwanych zmian nie było, prezes i selekcjoner ten sam, tylko w pionie PZPN Stanisława Nowosielskiego zastąpił Kazimierz Górski. Działiałem wtedy społecznie w Wydziale Szkolenia. Uznałem, że skoro był zły, to całe gremium powinno podać się do dymisji. Niech inni pokażą, co potrafią! Jednak wniosek upadł, poza mną nikt nie poczuł się do odpowiedzialności. Red. Stefan Grzegorzczak w felietonie p.t. „**Pranie**” ocenił to jednoznacznie:

...Program przygotowań i działań związanych z reprezentacją przyjęto, a więc rozgrzeszono i selekcjonera i siebie za dotychczasowe wyniki. Wychodzi więc na to, że jedynym mankamentem Wydziału Szkolenia był wiceprezes i teraz wszystko będzie cacy. Wypada więc pogratulować trenerom i działaczom Wydziału Szkolenia dobrego samopoczucia. Pranie się kończy? A co z przebudową?. Pytany o to przez nas obu Kazimierz Górski odpowiedział:

– ...Nigdy nie mierzyłem tak wysoko... Wiem jednak, że piłka nożna jest u nas pod ostrzałem, a więc teraz będą celować również we mnie. Czy jesteśmy na dnie?... Ja tak ostro tego stanu nie oceniam. Na pewno trzeba mówić o niepowodzeniach...

– Szkolenie, zwłaszcza szkolenie znajduje się od dłuższego czasu na cenzurowanym. Czy jest ono rzeczywiście takie złe?

– Wydaje mi się, że ani lepsze, ani gorsze od innych działów futbolu. W grupie wyczynowców za dużo jest jednak zawodników niedouczonej. Trenerzy produkują braki... Trening indywidualny jest prawie zapomniany.

– Co to znaczy, że PZPN powinien być samodzielny i samorządny?

– Same słowa wyjaśniają tu wszystko, idzie o pełną autonomię Związku. Sam powinien się rządzić i sam na siebie zarabiać. Mieć własne konto dewizowe. Czy w tym składzie personalnym jest to możliwe? Mam wątpliwości... By działać samorządnie i samodzielnie, bez prowadzenia za rączkę, do

tego – obok fachowości – potrzebna jest odwaga. Bo decyzje trzeba podejmować natychmiast!

– Mamy kontrakty jak zawodowcy, a poziom gry oldboyów...

– Myślę, że w futbolu – tym niby mistrzowskim – jest za dużo pieniędzy, legalnych i nielegalnych... Korzystają z nich nie tylko niedouczeni piłkarze lecz także ich nieuczciwi opiekunowie.

– Znany jesteś z optymizmu. Czy po objęciu wysokiej funkcji w PZPN nadal zachowujesz pogodę ducha?

– Gdybym nie wierzył w uzdolnienia naszych piłkarzy, mądrość działaczy, fachowość trenerów i sympatię społeczeństwa, nie przyjąłbym funkcji wiceprezesa PZPN. Wiem, co trzeba zmienić, a co udoskonalić. Oby tylko znowu nie zabrakło konsekwencji i wytrwałości w realizacji tych zadań.

– Takie właśnie na początku 1988 roku było credo nowego wiceprezesa do spraw szkoleniowo-sportowych, Kazimierza Górskiego. Pionem organizacyjnym, a także działalnością międzynarodową i sprawami wychowawczymi kierował wówczas w PZPN red. Jerzy Domański. Ten sam duet Grzegorzycyk – Lechowski zapytał kolejnego wiceprezesa, czy zgadza się z powszechnie powielaną opinią, że „organizacyjnie leżymy?”:

– Nie jestem z tych, którzy widzą tylko czarny i biały kolor. Jest jeszcze wiele barw pośrednich. Określenie „leżymy organizacyjnie” jest nie precyzyjne. Ale czy dobra lub zła organizacja zawsze wpływa na obiektywną ocenę stanu całego piłkarstwa, zwłaszcza reprezentacji? W Meksyku bezstronni obserwatorzy stwierdzili, że nasza ekipa była lepiej niż dobrze zorganizowana. I co z tego, skoro nie osiągnięto spodziewanych wyników sportowych?

– Obecne struktury Związku nie nadążają już za życiem, za rozwojem piłkarstwa, za jego nowoczesnym kształtem i wynikającymi z tego potrzebami.

– Bardzo łatwo można przestawić się na działanie menedżerskie, ale jak to pogodzić z wielką siłą społeczną? A właściwie jak dopasować jedno do drugiego, by nic nie stracić? Jest to możliwe w PZPN, w niektórych okręgach, wielkich klubach, ale w całej reszcie piłkarstwa, niewątpliwie dużo większej – już nie. Z licznych raportów i sondaży wynika, że społeczność piłkarstwa niechętnie przyjmuje to, co po prostu nowe. Jest jakby zadowolona z tego co jest i chętnie sama się w sobie zamyka. Ja też uważam, że PZPN powinien sam o wszystkim decydować i nie oglądać się na Komitet, a także nie ulegać interesom partykularnym.

– PZPN jest jednak instytucją konserwatywną...

– Historia, w tym również piłkarstwa, pełna jest sporów radykałów z reformistami. Myślę, że dojrzał czas do zmian radykalnych: w kierunkach działania, strukturach i systemach, wreszcie w sprawach personalnych. Ale jestem przeciwny wszelkim tendencjom odśrodkowym, chęci wyprowadzenia futbolu z rodziny wszystkich sportów, względnie stawianiu go ponad nimi. Idzie tylko o to, aby przepisy, zarządzenia i regulaminy służyły rozwojowi i podnoszeniu poziomu piłkarstwa.

Wypowiedzi zbliżonych do tych, które na łamach „Piłki Nożnej” zaprezentowali wiceprezesi Kazimierz Górski i Jerzy Domański było w przeszłości dość dużo. Wszystkie pięknie brzmiały. Jaki był jednak odzew na rzucone hasła? Niewielki, czasami nawet żaden! Z reguły większość mądrych myśli i w ślad za tym sporządzonych dokumentów – niekiedy o wartości historycznej – ukrywano w szufladach lub przeznaczono na przymiał. Tak przykry los spotkał nawet (na owe czasy) rozumnie opracowany system organizacyjno-szkoleniowy PZPN na lata 1973 – 1980. We fragmentach zrealizowano tylko zadania postawione tam przed reprezentacją. Teraz, u schyłku lat osiemdziesiątych wszystko zaprzepaszczono. Para poszła w gwizdek! Przedstawiono długą listę pozornie obiektywnych trudności, w rzeczywistości dość

często urojonych, które doprowadziły do zwękslowania wcale nie głupich pomysłów na boczne tory.

Zebraliśmy z tych „papierowych obietnic” jakże parszywe owoce: w sferze sportowej fiasko w eliminacjach mistrzostw świata, zapisane w pierwszej fazie na konto Wojciecha Łazarka, a w drugiej Andrzeja Strejlaua i kompletną klępkę w międzynarodowych rozgrywkach pucharowych. W kwestiach organizacyjnych – trwanie w zastygłych strukturach. „Czas radykalnych zmian” zasugerowanych przez wiceprezesa Jerzego Domańskiego prezes Zbigniew Jabłoński złągodził do ram tezy „**Reformować, ale nie burzyć**”.

– Jaka jest ogólna kondycja naszego futbolu – moralna, intelektualna, kadrowa? – pytaliśmy prezesa.

– Tu zbyt wielkim optymistą być nie mogę. Kondycja jest słaba. Wiemy, w jakim kierunku zmierzać, ale ciągle zbyt dużo energii zabiera likwidowanie spraw nagannych.

– Dotychczas wiele kontrowersji budziła współpraca naczelnych władz sportu z PZPN. Utrzymuje się ten trend czy sytuacja się zmienia?

– Gorset przepisów skrojony przez poprzednie komitety utrudniał działalność i ograniczał samodzielność PZPN. Obecnie dostrzegam ze strony Komitetu Młodzieży i Kultury Fizycznej działania świadczące o nowym podejściu do sprawy. Przeważa atmosfera partnerstwa.

– Reformy nie można sprowadzać tylko do ligi...

– Ale wraz z tą reformą oczekujemy wyraźnej i tak przez wszystkich oczekiwanej odnowy moralnej w naszym piłkarstwie. Jestem za generalną naprawą piłkarstwa, ale rozsądną, przemyślaną, nie burzeniem, a wzmocnieniem konstrukcji. Tak w centrali, jak i w klubach.

– PZPN w drugim etapie reformy: stowarzyszenie czy przedsiębiorstwo? A może jedno i drugie?

– Było by dużym nieporozumieniem, gdybyśmy w pogoni za pieniędzmi zepchnęli na dalszy plan tradycje i podstawową działalność sportową opartą o pracę społeczną. Odpowiedź jest krótka – związek sportowy, który prowadzi działalność gospodarczą. A więc jedno i drugie!

– Czy to ma być podstawowe źródło dochodów?

– Podstawowym sponsorem piłkarstwa jest społeczeństwo. Ono utrzymuje kluby, zwłaszcza te mniejsze, buduje i konserwuje obiekty, pokrywa koszty działalności administracyjnej. Tak jest w klubach. A u nas w PZPN? Jesteśmy związkiem nie dotowanym przez państwo. Ekwiwalenty za udział w finałach mistrzostw świata, to dotychczas nasza najmocniejsza pozycja w rubryce „wpływy”.

– Zmiany w piłkarstwie są konieczne. Czy z tymi ludźmi, którzy są można porywać się na te reformy?

– Dobór ludzi lepszych uzależniony jest od wynagrodzeń. Przy tej siatce płac do sportu w ogóle nie przyjdą ludzie o najwyższych kwalifikacjach... Skoro jednak ja nie mam dotacji, to dlaczego muszę trzymać się tych stawek?

TAJNY RAPORT

Nie milkły echa nieudanego startu polskich piłkarzy na mistrzostwach świata w Meksyku., Zdobyte tam (głównie złe) doświadczenia miały usprawnić pracę z reprezentacją, w rezultacie zapewnić jej pierwszy w historii awans do finałów mistrzostw Europy i kolejnych mistrzostw świata we Włoszech. Swoistym drogowskazem w tym kierunku miał być raport z... Mundialu w Meksyku. Dla przegranych eliminacji Euro 1988 okazał się jednak typową „musztardą po obiedzie”, a dla Copa del Mondo – 1990 poradnikiem bez przyszłości. Okręt tonął. Tam i tu „nasze Orły” wylądowały za burtą.

Twórcy raportu „**Udział reprezentacji Polski w XIII Mistrzostwach Świata Mexico '86**” wyraźnie spóźnili się z dobrymi radami. W każdym razie Wojciech Łazarek praktycznie z nich nie skorzystał. Opinia publiczna też w niewielkim stopniu wzbogaciła swoją wiedzę, bo treść raportu zawarowano klauzulą „*wyłącznie do użytku wewnętrznego*”. Byłem dość blisko tego układu, przeto ów „**tajny dokument**” dotarł do moich rąk. Przeżyłem jednak rozczarowanie. Publicznie zadałem więc pytanie: – **Czy to jest RAPORT?** Była to publikacja znacznie gorsza, niż podobne opracowane po mistrzostwach świata w latach 1974, 1978 i 1982. I wyraźnie spóźniona: większość „nowinek szkoleniowych” i ocen dotyczących naszej reprezentacji omówiliśmy na łamach „Piłki Nożnej” dużo, dużo wcześniej.

Powierzchowność i jednostronne spojrzenie na Mundial w Meksyku nie upoważniały do nadania tej publikacji rangi raportu. W Monterrey było wielu naszych trenerów, tymczasem „Raport” firmowali tylko Antoni Piechniczek i Marian Szczechowicz. A co robili inni? W tej sytuacji w relacji z Meksykiem stanowczo za dużo było ogólników, sądów bardzo subiektywnych, często sprzecznych – wzajemnie się wykluczających, w efekcie nieprawdziwych. Pobożne życzenia uznano za fakty. Służyło to obronie własnych teorii, a nie wiernemu przedstawieniu rzeczywistych wydarzeń na tych mistrzostwach.

W Polsce obowiązywał wówczas schemat systemowo-taktyczny 1+4+4+2, przeto i w relacji z Meksykiem do tego jednego kotła wrzucono praktycznie wszystkie drużyny. Tymczasem właśnie w Meksyku sporo zespołów (Argentyna, RFN, Francja) grało trzema stoperami (środkowymi obrońcami), stwarzając tym samym duże możliwości ofensywne obu bocznym obrońcom.